

Zmierzch. Czyli o epoce saskiej [TPCT 357]

Trauma słabości państwa, które na przestrzeni kilku dziesięcioleci zostało zdegradowane do roli przyczółku interesów mocarstw ościennych, pozbawionego sprawczości i podmiotowości, pozostaje tak trwała, że czasem niepodobna nam się z niej wyrwać. W tym numerze staramy się spojrzeć na epokę saską, aby zmierzyć się zarówno z jej spuścizną w naszym rozumieniu polityczności, ale także by dostrzec w niej przestrogę, z której dla współczesnego statusu naszego państwa, dla obecnego, jak i przyszłych pokoleń płyną wnioski o znaczeniu fundamentalnym.

Epoka wyparta. Oczywiście pamiętamy, że dynastia saska zasiadała na naszym tronie, że istniał jakiś spór, który doczekał się zgrabnego przysłowia, ale wszystko spowija mgliste poczucie, że czasy te to przedsiónek anihilacji państwa. Jednak nasza wspólnota polityczna zatarła gdzieś poczucie wagi tego okresu w dziejach Rzeczypospolitej. Nie istnieje ona na poziomie sztuki, kultury ani nawet pop-kultury. Tak jakbyśmy zbiorowo czuli, że nie chcemy pamiętać o naszym państwie z tego momentu dziejowego. Niechciana epoka pomiędzy wielką wiktoria Sobieskiego pod Wiedniem, a czasami króla Stasia i Konstytucją 3 Maja. Świat zapomniany, a skrywający przecież całą sekwencję wydarzeń, które obciążły szalę losu wspólnoty politycznej na wielkiej połaci ziem, dla których Mojry przeznaczyły oddzielną, dość parcianą przędzę. Panowanie Wettynów to przecież 66 lat rządów, niemal trzy pokolenia,

które wzrosły pod panowaniem dynastii saskiej, a był to czas
brzemienny w skutki. Czy możemy dziś spojrzeć na tę epokę, aby
dostrzec jej ciężar, ale także wyciągnąć z niej wnioski?

Oczywiście należy poważnie się zastanowić, czy kampanie wojenne i
wpływ potężnej polityki na sytuację wewnętrzną kraju w latach 1698–
1717 należy historycznie postrzegać jako przyczynę czy skutek anarchii
czasów saskich, w wyniku której państwo polskie znalazło się w
poważnym kryzysie. Jednak łatwo skonstatować, że sam wysiłek, który
podjął August II Mocny, aby spróbować w Rzeczypospolitej wprowadzić
porządek, który wraz z epoką Oświecenia zaczął dominować wśród
sąsiadów państwa polsko-litewskiego, tak odległy od jej całej
wolnościowej i republikańskiej tradycji, był skazany na niepowodzenie.
Absolutyzm, w którym ten władca upatrywał pewnej szansy zapewne
nie tylko dla swojego panowania, ale być może dla interesu całego
państwa mijał się z tym, czym tkanka instancjonalna i wspólnota
polityczna były od kilkuset lat. Cechy republikańskie z umiłowaniem
wolności, anty-absolutyzm, szukanie politycznej roztropności, brak
tendencji do wychylania się w strony skrajne, to stanowiło rdzeń
wolnościowego DNA. Wspólnotę tworzy się bowiem poprzez budowanie
więzi na podstawie zbieżnej aksjologii, a ta nijak nie mogła pogodzić
się z narzucaniem wzorca, który tak jawnie stał w sprzeczności ze
wszystkim, co państwo, jego instytucje, jak i naród obywatelski
reprezentowały.

Co więcej, pod rządami Sasów Rzeczpospolita została uwikłana w długą
i niechcianą wojnę ze Szwecją, z której, dzięki sławetnej bitwie pod
Połtawą, zwycięsko wyszła Rosja, i po której ugruntowała swoją pozycję
hegemonia w tej części Europy. Od tego momentu Piotr I mógł
demonstrować swoją przewagę nie tylko wobec pokonanych Szwedów,

*Świat, który znamy i którego
tak się boimy, zdaje się mieć
swoje źródła w tej epoce*

lecz także zacząć
ingerować w
wewnętrzne życie
państwa polskiego.
Sejm Niemy 1717,
czy też rozgrywanie
napięć religijnych,

ustanawianie swojego ambasadora, którego rola dalece wykraczała poza kompetencje dyplomatyczne – to przecież tylko emanacja pewnego statusu relacji polsko-rosyjskich, który nastał za czasów saskich. Rzeczpospolita rozkładała się wewnętrznie – poprzez penetrację obcych sił kształtujących debatę publiczną i niemoc oraz utratę podmiotowości, jak i zewnętrznie stając się jedynie zapleczem nieudolnej polityki zagranicznej saskiego dworu. Ostatecznie można skonkludować, że im bardziej August grzązł w uzależnieniu od Rosji i chytrze kooperujących z carem Prus, tym bardziej reklamował przyjaźń z Petersburgiem i Berlinem.

Rosjanie szybko zdali sobie sprawę, że pozorna stabilizacja połączona z głęboką wewnętrzną niemocą narodu jest lepsza od politycznego zaangażowania czy ostrej pacyfikacji sąsiedniego państwa. Do dziś zdaje się pobrzmiwać pewna trwoga, sięgająca korzeniami tych czasów, że w nasz *modus* wpisana jest niezdolność do budowania instytucji, które potrafią wypracować sobie taką niezależność i autorytet, aby stać poza bieżącymi sporami politycznymi. Podobnie wisi nad nami pewne, zdawałoby się odwieczne, fatum spójnej linii interesów między Berlinem a Moskwą, które wcale nie sięga tak daleko i nie jest tak ugruntowane w historii, jak czasem skłonni jesteśmy myśleć. A w tym wszystkim dominuje przeświadczenie, że cała historia tych ziem znajduje się jedynie w paradygmacie Wschód-Zachód, gdzie niepodobna szukać innych punktów odniesienia. Świat, który znamy i

którego tak się boimy, zdaje się mieć swoje źródła w tej epoce. To w niej widzimy zmorę, koszmar naszej polityczności. Być może to właśnie dlatego wypieramy ją z pamięci pomimo istnienia pewnych pozytywnych aspektów, które również przecież zajaśniały na tej ponurej mapie: chociażby rozwoju późnobarokowej architektury sakralnej, który zaowocował powstaniem na Litwie unikalnej i nowatorskiej „szkoły wileńskiej”. W całej Rzeczypospolitej obok kościołów jezuitów powstawały okazałe, nowoczesne kolegia; te instytucje, które nadal są używane jako nowoczesne szkoły i uniwersytety, między innymi w Braniewie, Poznaniu, Krakowie, Kownie. Bez epoki saskiej próżne byłoby rozważanie dalszego rozwoju szkolnictwa, odrodzenia drukarstwa i nauki oraz ponownego włączenia Polski w rytm przemian modernizujących ówczesną Europę. To w tych czasach odtworzono we własnym stylu materialną substancję kultury polskiej. Nawet dziś znaczna część zabytkowych budowli, które są nadal użytkowane, reprezentuje architekturę sakralną i świecką z epoki saskiej.

Niemniej pomimo wpływu na kulturę materialną i rozwój pewnych instytucji, które paradoksalnie utrzymywały później polskość i kulturę Rzeczypospolitej przez ponury czas zaborów – trauma słabości państwa, które na przestrzeni kilku dziesięcioleci zostało zdegradowane do roli przyczółku interesów mocarstw ościennych, pozbawionego sprawczości i podmiotowości, pozostaje tak trwała, że czasem niepodobna nam się z niej wyrwać.

W tym numerze staramy się spojrzeć na epokę saską, aby zmierzyć się zarówno z jej spuścizną w naszym rozumieniu polityczności, ale także by dostrzec w niej przestrożę, z której dla współczesnego statusu

naszego państwa, dla obecnego, jak i przyszłych pokoleń płyną wnioski o znaczeniu fundamentalnym.

Jan Czerniecki
Redaktor naczelny

*Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa
Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury*



Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego
